

Inna kobieta podaje mężowi dzieci do pocałowania – jedno po drugim, pięcioro drobiazgu... Najstarsza dziewczynka nie ma pewnie jeszcze lat dziesięciu, najmłodsze bobo nie może liczyć więcej, jak dwa lata.

– A za zasiłkiem chodź, urzędnikom w uszy kładź, że potrzebujesz bardzo... Żeby długo nie zwłóczyli...

Ówdzie znowu wystrojona, mocno zesznurowana mamusia przykładła do oczu uperfumowaną chusteczkę, żegnając różowego, dobrze odżywionego synka, który robi wielce płaczącą minę.

– Romeczku, uważaj na siebie; nie przeziębiał się!... Tyś taki delikatny!... Szynek zjedz od razu, bo się zepsuje!... Papierosy włożyłam między bieliznę!... I sto kartek już zaadresowanych!... Żebyś codziennie przynajmniej jedną przysyłał!... A pamiętaj o tem, co ci mówiłam!... Ty już wiesz?...

– Wiem, mamoo...

Gdzieindziej gruba, ciężko sapiąca żydówka, w pluszowym, ale poplamionym i zafluszczoneym żakiecie i w przekrzywionym, jedwabnym kapeluszu, szepcze młodzieńczykowi o bladej, ascetycznej twarzy do ucha jakieś tajemnicze przestrogi.

Ale już czas wsiadać.

Ostatnie słowa pożegnalne... ostatnie pocałunki, uściski rąk i konduktorzy zaczynają zatrząsować drzwiczki wagonów.

Pospolifacy cisną się do okien jeden przez drugiego, aby jeszcze choć chwilę popatrzeć na swoich.

Dopiero teraz wszczynają się prawdziwe zamieszanie.

Półgłośny gwar zamienia się w hałas. Krzyżują się okrzyki.

– Zostańcie z Bogiem!...

– Bywajcie zdrowi!...

– Wracajcie prędko!...

– Boże, prowadź!...

– Nie martw się o mnie!... Bądź spokojna! Myśl o twoim zdrowiu i o dzieciach!...

– Uważaj na siebie!...

– Pisz codziennie!...

– Donoś natychmiast o wszystkim!...

– Do widzenia!...

– Konradzie!...

Zdławiony, rozpaczny krzyk rwie się z piersi Józki Żarnickiej. Młoda kobieta rzuca się ku mężowi, od którego dotychczas odgradzała ją matka.

Konrad tuli do ust ręce żony, chciałby jej powiedzieć jakieś dobre, serdeczne, pokrzepiające słowa, ale wzruszenie maci mu myśli, tamuje głos.

– Wsiadać!...

Teraz znowu matka chwytą syna w objęcia, przybliża się Lola!... Konrad wskakuje do pociągu.

Józka uderza nagle w głośny, rozdzierający, spazmatyczny szloch.

Świekra twardym uściskiem chwytą ją za ramię.

– Zaprzestań histerycznych komedii! – rzuca jej do ucha – Robisz ze siebie widowisko i sprawiasz tylko Konradowi przykrość...

Te słowa wywierają natychmiastowy skutek. Józka przestaje płakać, ociera łzy, tłumii łkanie i próbuje się uśmiechnąć.

Chce dorównać świekrze, chce pokazać się pozornie równie spokojna, jak ona.

Bo pani Żarnicka nie pozwoli sobie zdradzić się ze swymi uczuciami i, jak w duchu mówi, nie robi nikomu tej „przyjemności”, żeby patrzył na jej łzy.

Jak wszyscy ludzie o chłodnym usposobieniu i oschłym sercu, przekonana jest, że widok cudzego cierpienia sprawia pewnego rodzaju satysfakcję, to co Niemiec nazywa „Schadenfreude”.

Przeciągły, przeraźliwy świst lokomotywy rozdarł powietrze. Jeszcze jedno chóralne: „bywajcie zdrowi, do widzenia” i... pociąg rusza z miejsca, znacząc za sobą ognistą smugę iskier.

Jeszcze chwilę widać w oknach siłoczone głowy, jeszcze wiewają chustki i kapelusze, ale pociąg mknę coraz szybciej i znika z przed oczu tych, którzy pozostali na stacyi.

– Do domu idziemy! – rzekła krótko pani Żarnicka, zwracając się do córki i do synowej.

Przyspieszyła tak kroku, że Józka i Lola pozostały za nią nieco w tyle.

Józka dopiero teraz spostrzegła, że jest przedmiotem żywej obserwacji, że zaciekawione spoj-

zenia, przeważnie kobiece, kierują się ku niej. Łykowskie panie oceniały i krytykowały jej twarz i kapelusz, uczesanie i buciki, figurę i ubranie.

Józka nie była wcale nieśmiała i przywykła do tego, że powierzchownością swoją najczęściej czarowała ludzi, teraz jednak, z właściwą sobie wrażliwością, wyczuła, że z tych, skierowanych ku niej, oczu płynie raczej prąd niechętny.

I nie myliła się. Była młoda, ładna, obca, porwała łykowskim pannom najniespodziewaniej w świecie jednego z nielicznych w mieście kawalerów i to jeszcze bogatego i w dodatku takiego, o którym marzyła niejedna główka panieńska i nie tylko panieńska.

Nie brakło młodszych mężatek, które niechętnym okiem spoglądały na panią Konradową. A cóż dopiero mówić o mamach, posiadających córki na wydaniu.

Wszystkie te jednak krytyczne, mało życzliwe spojrzenia, niewiele Józki obchodziły. Przeciwnie, dodały jej jakiegoś bodźca. Podniosła głowę trochę wyżej i pozwoliła łykowskim starszym i młodszym paniom, pannom i panienkom zobaczyć swoje cudne, turkusowe oczy, zamglone jeszcze trochę i wilgotne od łez.

Nagle drgnęła i jakby magnetyczną jakąś siłą pociągnięta, odwróciła głowę ku jednej z przypatrujących się jej kobiet.

Bo też niezwykle były to oczy, które na nią spoglądały. Bardzo duże, prawie nadmiernie wielkie – tak czarne, że żrenica zdawała się rozpylić niemal w tęczę, gorączkowo jakoś błyszczące i dziwnie bystre, mądre, przenikliwe.

Miały te oczy w sobie głąb niezbadaną, płonącą ogniem, który szedł od wewnątrz i zdawały się nie palnąć na człowieka, ale chłonać w siebie jego rysy.

To też tylko te oczy godne były uwagi, w tej twarzy ściągłej, chudej, o cerze kremowo-żółtawej, bez śladu rumieńca i nieregularnych rysach.

Oprócz oczu, włosy czarne jak skrzydło kruka, upięte nisko na szyi w luźny, niedbały węzeł, zadziwiać mogły bogactwem i jedwabistym połyskiem.

Trudno było na pierwszy rzut oka określić, w jakim wieku jest ta kobieta. Mogła mieć lat i dwadzieścia kilka i trzydzieści i nawet więcej.

Twarz była młoda jeszcze, ale miała wyraz, właściwy tylko kobietom, które już dużo żyły i dużo rozumiały.

Szorstkie, zamaszyste ruchy, jakby więcej męskie, niż kobiece, harmonizowały doskonale z ubraniem dosyć gustownym, ale odznaczającym się pewnym lekceważeniem szczegółów, a po części i mody.

Kapelusz, oryginalnie i śmiało, choć wcale nie wyzywająco wygięty – i znać było, że nie wymyśliła go żadna modniarka. Spódnica wbrew obowiązującej tego sezonu modzie, była obcisła, choć nie nadmiernie wąska. Żakiet krojem przypominał męskie, luźne palto.

– Kogóż to Larchówna odprowadzała? – zagadnął niedaleko od Józki jakiś głos kobiecy.

– Nikogo. Pewnie tylko chciała zobaczyć, jak się Żarnicki będzie żegnał z żoną.

– Aha! Tak!... Naturalnie!... Ta musi być wściekła!... Jej się nie udało, a tu jakaś smarkata, ni stąd, ni zowąd!... Ale, à propos, jak się pani podoba ta młoda Żarnicka. Bo mnie, nie szczególnie.

– I mnie także. Nic nadzwyczajnego. Miał się też w czem zakochać!...

– Kto wie, czy się zakochał!... Podobno go zmusił!...

– Chyba, że tak, bo inaczej, to doprawdy nie rozumiem!... A jak fatalnie ubrana!... Któż szanująca się kobieta nosi teraz taki kołnier!...

– Albo ten żakiet!... Ta czapka!... Zupełnie, jak pensjonarka!... Że też to Żarnicka nie wstydziła się jej tak pokazać.

– A cóż, jeszcze jej stroje ma sprawiać? No, ale dobrze tak starej. Dęła się i dęła, zakłętą księżniczką dla syna szukała, dla każdej panny jakąś przyganę znalazła i teraz ma!...

– Jak to ludzie przesadzają! Mówili, że piękna, a tymczasem ani się kończy, ani się zaczyna!... O! Taka sobie!...

– No, nie można powiedzieć, żeby była brzydka! – zauważyła towarzysząca, widocznie nieco sprawiedliwsza.

– Ani brzydka, ani ładna!... Zupełnie pospolita! No, a to ubranie, prawda, Tuśku? – zwróciła się dama do swego męża, który postępował obok niej w milczeniu.

– Co?... – Łysawy, starannie wygolony Tu-

siek tak się zapałzył na Józki, że zupełnie nie słyszał tego, co żona i jej przyjaciółka mówiły.

– Prawda, że ta Konradowa Żarnicka nic nadzwyczajnego? Jakaś niby niezgrabna i zupełnie źle ubrana.

– Źle ubrana, powiadasz?... Może ja się na tem nie znam!... Ale cukierek!... – dokończył i aż mlasnął lekko pełnemi, czerwonymi, zmysłowemi wargami.

Żona spiorunowała go wzrokiem i pogardliwie wzruszyła ramionami, obciągniętymi modną, szeroką, futrzaną pelerynką.

– Co się wam, mężczyznom, wszystko nie podoba!... Za grosz gustu nie macie!...

Te panie usiłowały wprowadzić mówić cicho, ale miały tak piskliwe, donośne głosy, że Józka, gdyby była mniej zamyślona, mogłaby niejedno słowo z ich rozmowy posłyszeć.

Na szczęście jednak nie słyszała nic. Natomiast do uszu jej teściowej musiała dobieść, któraś z tych uwag, bo pani Żarnicka zaczerwieniła się nagle, co jej się bardzo rzadko zdarzało, obróciła się ku Józce, obrzuciła ją złym, nieprzyjaznym wzrokiem i ostro powiedziała:

– Chodź prędzej!... Czego się tak wleciesz? Czy chcesz, żeby wszyscy dokładnie podziwiali twój przedpołopowy żakiet i czapkę, dobrą dla podłotka?...

Józka uczuła na policzkach gorąco wypieków. Wprowadzić nie myślała ona teraz o ubraniu, jednak próżność jej kobieca była przykro dotknięta.

Wiedziała ona o tem dobrze, że żakiet za krótki, dwukrotnie już przerabiany, pamiętający przedwojenne czasy, pozostawia dużo do życzenia pod względem elegancji. Jednak dotychczas nie martwiła się tem wcale, choć lubiła, jak mówiła Walczakowa, ładne „gałganki”.

Dopiero teraz to brutalne przypomnienie. Józka oburzyła niedelikatną uwagą pani Żarnickiej i postanowiła ją odeprzeć.

– Nie każdy musi małpować modę, a zwłaszcza w takich czasach – powiedziała.

Było to, co prawda, nie jej własne zdanie, ale także od Walczakowej zasłyszane.

– Proszę – rzuciła świekra – co za filozofia abnegacji!... Ciekawam, czy cała twoja garderoba tak po spartańsku wygląda!...

Józka opanowała się i zamilczała. Przez całą drogę powrotną do domu nie powiedziała do siebie już ani słowa.

## ROZDZIAŁ V.

Józka miała już wsunąć się pod kołdrę, kiedy zapukano lekko do drzwi jej sypialni.

Narzuciła prędko na nagie ramiona biały, haftowany kaftanik i zawołała:

– Proszę.

Drzwi uchyliły się cicho i ukazała się w nich Lola, także już w nocnym kaftaniku, w halce i miękkich, filcowych pantoflach na bosych stopach.

Panienka bez szelestu zamknęła drzwi, przemknęła lekko przez pokój i usiadła na skraju łóżka Józki.

– Chciałam z tobą porozmawiać jeszcze trochę... tylko cy! Cichutko, żeby mama nie słyszała!...

– Czyż mama nie pozwala ci rozmawiać ze mną? – zapytała żywo bratowa.

– Nie! Nie o to idzie!... – tłumaczyła się trochę zmieszana Lola – Tylko, że już jest późno, a mama jest zwolenniczką regularnego życia!... Ale mniejsza o to!...

– Wcale nie mniejsza – westchnęła Józka – powiedz mi, Lolu, szczerze!... Jak myślisz, czy ja zdołam kiedy pozyskać twoją matkę?...

– Nie wiem, Józku!...

– Ona mnie nie cierpi!

– E! No, nie cierpi!... zaraz nie cierpi!... Przysadzasz mocno. – mówiła Lola, unikając wzroku bratowej.

– Nie mówisz w tej chwili tego, co myślisz. Zresztą ja sama wiem.

– E! Daj temu spokój!... Mama, jak mama! Nie warto się tem truć!... O czem innem chciałam mówić z tobą!... Pewnie ci bardzo smutno, że Konrad odjechał?...

W oczach Józki pokazały się nowe łzy!...

– Pytasz o to?...

– No, nie płacz, nie płacz!... Szkoda twoich oczu! Powiem ci na pociechę, że on tam sobie da radę!...

– On, taki wąły, rozchoruje się!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)